

BOHDAN ZADURA

## Wątki moralne u Prousta

## I

Powiada w pewnym miejscu Proust, że dzieło literackie, do którego wkłada autor teorię, jest jak prezent, w którym pozostawiono karteczkę z ceną. Czy jednak powieść Prousta nie zawiera pewnej teorii filozoficznej?

Proust urodził się w 1871 r., był synem znanego lekarza, profesora Adriana Prousta. Oba te fakty zaważyły w poważnej mierze na kształcie późniejszej powieści. Środowisko naukowo lekarskie, w kręgu którego wzrastał, posłużyć miało Proustowi jako jeden z jego modeli przy tworzeniu postaci lekarzy, którzy przewijają się przez karty *W poszukiwaniu straconego czasu*, by wspomnieć portret chyba najdoskonalszy doktora Cottarda. Nie mniej ważny wydaje się wpływ atmosfery domu rodzinnego na kształtowanie się podejścia Prousta do rzeczywistości. Przejął on niewątpliwie od ojca, jak i od brata, który również był sławnym specjalistą, pewien swoisty punkt patrzenia na rzeczywistość, który możemy nazwać przyrodniczym. Ważniejsza jednak, a przynajmniej równie ważna, wydaje się być dla przyszłej teorii poznania Prousta atmosfera całej epoki, w której przebiegała jego młodość, ów klimat intelektualny i filozoficzny drugiej połowy XIX wieku. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte we Francji to okres niebywałej popularności poglądów, które najogólniej określić można mianem pozytywistycznych. Proust wzrastał w tej tradycji i owo przyrodnicze, analityczne podejście do rzeczywistości, swego rodzaju naukowość, charakteryzuje poważną część powieści. Jednak stosując tę metodę, Proust doszedł do generalnych ustaleń zgoła z nią sprzecznych. Jest niewątpliwie mistrzem analizy: pewne uczucia ludzkie uważane przed nim za elementarne potrafił rozbić na atomy, np. uczucie miłości czy snobizmu. Ale zachowując owo podejście przyrodnika, które odziedziczył po ojcu, bynajmniej nie doszedł do przekonania, że nauka zasługuje na takie za-

ufanie, jakim darzyła ją epoka. To, co służyło ukazaniu, że wszystkie różnice są wynikiem różnic ilościowych, to, co służyło wyjaśnieniu — u Prousta daje w efekcie przekonanie, że różnice jakościowe są czymś nieredukowalnym, daje pogląd, że istnieje tajemnica, że istnieje jaźń i istota rzeczy. Stosując bezlitosną analizę, doszedł Proust do wniosku, iż świat, jaki się nam jawi potocznie, świat, jaki widzą również nauki, jest światem uludy i niewiele ma wspólnego z prawdziwą rzeczywistością. To, co się powszechnie uważa za poznanie prawdziwe, proste odwzorowanie rzeczywistości, jest w istocie zaprzeczeniem poznania, jest raczej twórczością niż odwzorowywaniem. Bo nikt chyba w literaturze przed Proustem nie wykazał w takim stopniu roli czynnika podmiotowego w poznaniu. Przedmiotem u Prousta jest, najogólniej mówiąc, świat, tyle jednak jest światów, ilu prawdziwych artystów. Jedynie przez dzieło sztuki dotrzeć możemy do prawdy życia. Dzieło jednakowoż jest etapem końcowym, stanowi zwieńczenie pewnego procesu, procesu, który trwa od naszych urodzin, choćbyśmy nie zdawali sobie z tego sprawy. Prawda gromadzi się w nas, chociaż żyjemy z dala od prawdy. Z dala od niej, bowiem w świecie codzienności wydaje się nam, że nie prawda jest najważniejsza, ale to, by była zgodna z naszymi pragnieniami. Mówiąc metaforycznie, jest jednak w nas coś czy ktoś, kto na podobieństwo urzędnika śledczego zbiera materiał o nas, chociaż o tym nie wiemy, gromadzi go w archiwum, w którym leżeć on będzie, aż nadejdzie chwila, gdy zostanie spożytkowany.

Światem naszej myśli, naszego życia umysłowego rządzą te same prawa, co światem naszych zachowań. Stajemy się wygodni, posługujemy się stereotypami, ulegamy schematom, nie mamy siły, by przewyciężyć swe nawyki i nałogi, zmusić się do wysiłku przeciwstawienia się przyzwyczajeniom. Widzimy świat statycznie, zakładamy, że nie ma w nim żadnych zmian, chcielibyśmy, by ludzie byli zawsze dopasowani do naszych o nich wyobrażeń. Żyjemy więc w świecie półprawd i prawd pozornych, zatracamy swą autentyczność, stając się i dla siebie takimi, jakimi jesteśmy dla innych. Doszukując się cech wspólnych, zatracamy to, co jakościowe, nie potrafimy uchwycić istoty zjawiska i jego sensu. Dla Prousta świat dzieciństwa jest światem najbliższym naturze. Jest to świat nieustających olśnień, ciąglego „zachwycenia”, świat oczywistości. Jednakże wraz z upływem lat przestajemy doznawać owego zachwyty, który spotykaliśmy na każdym kroku. Miast harmonii, piękna i porządku dostrzegamy ulotność i znikomość owych doznań i bądź unicestwiamy się w szaleńczej za nimi pogoni, bądź wybieramy niewiele lepszą drogę zaspokajania się iluzją trwałości i pewności za wszelką cenę, chroniąc się w złudnym komforcie stabilizacji. Intelkt wiedzie nas na manowce, prawdy, które oferuje, są martwe, odpowiedzi, jakie nam daje, nie są odpo-

wiedziami na pytania dla nas najistotniejsze — nie potrafi on nam rozwiązać spraw życia i śmierci w metaforycznym i dosłownym tych słów znaczeniu.

Jest wszakże w człowieku pewna władza szczególna, o której już wspominaliśmy, nie nazywając jej po imieniu — pamięć. Zajmuje ona u Prousta miejsce centralne i to z kilku zresztą powodów. Dzięki pamięci mówić można o w miarę tożsamym, chociaż nie statycznym i stabilnym, podmiocie poznającym: pamięć sprawia, że Marcel, mimo iż zdaje sobie sprawę z ogromnej różnicy, jaka istnieje między nim kochającym np. Alberytyne a nim zwiedzającym Wenecję, czuje się jednak po części przynajmniej tym samym Marcelem. Jest to uczucie chwiejne, chybotliwe jak płomień świecy i zdające się jak on przygasać — jednak niewątpliwie występuje. Tak jak fundamentalnym zdaniem, na którym opierał się kartezjański dowód istnienia, było *cogito ergo sum*, tak analogiczne zdanie u Prousta brzmieć by mogło „pamiętam, więc jestem”.

Wydaje się jednak, że trzeba wyróżnić w *W poszukiwaniu...* co najmniej dwa rodzaje pamięci. Jedna z nich to pamięć, którą moglibyśmy nazwać pamięcią powierzchniową, intelektualną. Druga to fenomen nieporównywanie rzadszy, fenomen pamięci głębinowej, podskórnej, podświadomej czy — by posłużyć się znakomitym określeniem Błońskiego — pamięci analogicznej. Pamięć pierwszego rodzaju jest pamięcią, bez której nie moglibyśmy się obyć w życiu codziennym, jest to pamięć, nad którą mamy władzę. Jak się nazywasz, ktoś nas pyta, i postanawiamy sobie wtedy przypomnieć nasze nazwisko; jak to było, kogo spotkałeś, ile jest dwa razy dwa? — odpowiedzi na te pytania zawarte są w naszym umyśle, są one niejako zinwentaryzowane i możemy nimi w każdej chwili rozporządzać. Zastanawiając się nad mechanizmem wspomnienia, doszedł Proust do wniosku, że aczkolwiek we wspomnieniu potrafimy zrekonstruować fakty, o tyle nigdy nie udaje się nam dotrzeć do tego, co stanowiło istotę wspomnianego przeżycia, tak jakby ulotniła się z niego, wyparowała bezpowrotnie szczególna jakość, bez której to, co podniosłe, staje się płaskie, to, co wyjątkowe — banalne. Owe rekonstrukcje, kierowane świadomą wolą rekonstruowania, dają więc w efekcie zawsze atrapy, miast żywej tkanki — jedynie skorupy. Istnieje jednakowoż drugi rodzaj pamięci, pamięć niezależna od naszej woli, pamięć, nad którą nie mamy władzy; jeśli już mówić o kierowaniu, to raczej ona kieruje nami niż my nią. Jest to pamięć, dzięki której dokonuje się w *W poszukiwaniu...* cud zwycięstwa bohatera nad czasem, pamięć, która ten cud nie tyle sprawia, co umożliwia. Pamięć ta po raz pierwszy przejawia się w epizodzie z magdalenką: „...w tej samej chwili, kiedy łyk pomieszany z okruciami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrżałem, czując, że dzieje się we mnie coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz, odosobniona, nie umotywowana.

Sprawiła, że w jednej chwili koleje życia stały mi się obojętne, klęski jego błahe, krótkość złudna; działała w ten sam sposób, w jaki działa miłość, wypełniając mnie kosztowną esencją; lub raczej ta esencja nie była we mnie, była mną. Przestałem czuć się miernym, przypadkowym, śmiertelnym”.

Epizod ten jednak wskazuje i na to, że sama pamięć nie wystarcza. Przyniosła ona Marcelowi chwilę szczęścia, chwilę, bo przeszedł nad fenomenem, którego doświadczył, do porządku i nie potrafił wyjaśnić jego powodów, nie podjął próby zrozumienia go. Dopiero kiedy przeżyje po raz wtóry coś podobnego, nie zaprzepaści szansy, jaka się przed nim otwiera. W obydwu wypadkach Marcel doznał uczucia, iż przewzyciężony został ziemski porządek, w którym nieubłagane rządzi czas, śmierć i rozum. Tym samym zanegowany został czas linearny, przeszłość, która wydawała się być martwa — zmartwychwstała. Jeśli był szczęśliwy czując smak magdalenki rozmoczonej w herbacie i jeśli był szczęśliwy doznając nierówności chodnika pod stopami, to dlatego, że był szczęśliwy w Combray i w Wenecji.

Przypomnijmy, że dla Prousta okres dzieciństwa jest okresem, w którym istnieje naturalna, spontaniczna zgoda między jaźnią a przedmiotem. „O stronie Meseglise i stronie Guermantes muszę myśleć zwłaszcza jak o głębokich pokładach mojego ducha, jako o twardych gruntach, na których mogę się jeszcze oprzeć. Dlatego, że wierzyłem w rzeczy, w ludzi... ludzie i rzeczy, które wtedy poznałem, są jedynymi, które biorę jeszcze poważnie i przynoszą mi jeszcze radość. Bądź dlatego, że wyszła we mnie wiara, która stwarza, bądź dlatego, że rzeczywistość tworzy się jedynie w pamięci, kwiaty, które widzę po raz pierwszy, nie wydają mi się prawdziwymi kwiatami. Nie ma więc prawdziwego poznania bez zaufania do świata — okresem, gdy zaufanie to istniało, było dzieciństwo, lecz ono minęło i aby poznać prawdę, trzeba je odzyskać. Rzeczywistość tworzy się jedynie w pamięci”. Nie ma co prawda zgody między jaźnią a przedmiotem, ale istnieje więc analogiczna między ja dawnym a ja terażniejszym. Dowodem na to są dla Marcela przeżycia, o których pisaliśmy powyżej. To, że współbrzmienie wspomnienia i doznania terażniejszego daje człowiekowi głęboką radość, polega, zdaniem Prousta, na tym, iż oba te elementy zawierają jeden wspólny czynnik, to, czego nie zdołał zniszczyć czas — istotę rzeczy. Owa istota rzeczy jest nieprzenikalna dla inteligencji, dociera do niej jedynie pamięć analogiczna, którą nazywać można również intuicją. Stosunek poznania, relacja między przedmiotem i podmiotem jest stosunkiem wzajemnej wymiany. Poznanie jest czymś, co na pół tkwi w podmiocie, na pół w przedmiocie. Dlatego też poznanie musi być oparte na wczuwaniu się w przedmiot. Poznanie prawdziwe może więc dać sztuka, będąca pochodną intuicji, nie zaś nauka, będąca

pochodną inteligencji. W przeciwieństwie do poznania zmysłowego prawdziwym poznaniem siebie jest r o z p o z n a n i e. Jak pisze Georges Poulet: „Skoro na wezwanie doznania terażniejszego pojawia się doznanie przeszłe, stosunek, jaki powstaje, funduje ja, bowiem funduje poznanie ja. Rozpoznając byt, który kiedyś istniał, tworzymy fundament bytu, który istnieje obecnie. Byt prawdziwy, byt esencjalny, to ten, który rozpoznajemy nie w przeszłości, nie w terażniejszości, ale w stosunku wiążącym przeszłość i przyszłość, to znaczy między nimi dwoma”.

Tutaj właśnie wielką rolę do odegrania ma również intelekt. Bowiem za doznaniem tego, co wspólne wrażeniom obecnym i przeszłym, iść musi zrozumienie. Powiada Marcel przed pałacem Guermantów: „obiecałem sobie, że nie pogodzę się z nieświadomością”, co znaczy: nie zdam się więcej na przypadek. Jest to postanowienie o konsekwencjach etycznych, bowiem „trud rozumu jest dowodem poświęcenia i hartu woli”.

Tak więc przekonanie, do jakiego doszedł Marcel, a wraz z nim Proust, zawiera się w formule „widzieć jasno w zachwyceniu”, realizuje się zaś najpełniej w postępowaniu artystycznym. Sztuka, o której mówi Proust, iż jest współpracą ducha religijnego i miłości rzeczy, stanowi poznania rodzaj najdoskonalszy. Ów duch religijny to tęsknota za wiecznością, potrzeba transcendencji, dążenie do absolutu. Z niego to płynie Proustowska teoria wiecznego momentu, tego szczególnego rodzaju wieczności, która dostępna jest człowiekowi. Sam Proust, jak świadczą biografowie, zobojętniał na śmierć, pogodził się ze swą chorobą i w świetle teorii, jaką wyznawał, nie może się to wydać dziwne; cierpienie zyskiwało w jej ramach swą wielkość, bowiem przyczyniało się do napisania dzieła. Wydaje się, że prawdziwą klęską pisarza i człowieka byłaby amnezja.

Wielki cykl powieściowy Prousta przez długi okres czasu nie miał powodzenia u czytelników. Kłopoty ze znalezieniem wydawcy, chłodne przyjęcie pierwszych tomów, chłodna, a nawet wroga, reakcja krytyki na przyznanie mu nagrody Goncourtów — to pierwsze dowody nieporozumienia, jakie narosło wokół tej książki. Pierwsze, ale nie jedyne. Przez wiele lat bowiem widziano w Prouście jedynie genialnego portreciście, w *W poszukiwaniu...* zaś dopatrywano się tylko powieści psychologicznej, to znów studium snobizmu czy panoramy zmierzchu epoki arystokracji. Dziś, kiedy spojrzeć na *W poszukiwaniu...*, doszukać się tam można głębokiej myśli filozoficznej, która stawia autora w jednym szeregu z najsłynniejszymi umysłami epoki. Analogie między koncepcjami Prousta i Bergsona sprawiają, iż Władysław Tatarkiewicz podaje *W poszukiwaniu...* jako przykład dzieła, na którym odcisnął swe piętno bergsonizm. Jeśli jednak wierzyć biografom pisarza, podającym, iż nie czytał on nigdy Bergsona, i ufać jemu samemu, skonstatować można nie tyle zależność,

co kongenialność i wyrazić przekonanie, iż gdyby Bergsona nie było, zająłby Proust nie tylko miejsce w historii literatury, lecz również i filozofii. Jeśli ufać słowom pisarza, teoria nie jest tym, co należy do dzieła włożyć, lecz powinna być tym, co z dzieła wynika.

## II

Dorastając w Combray, normalną koleją rzeczy poznawał Marcel kolejno ludzi i sprawy, którymi żyli najbliżsi i ich znajomi. Wraz z wizytą pana de Norpois wkraczała w obszar jego świadomości polityka, wraz z rozmowami rodziców i służby rodziło się coś, co można by nazwać kompleksem arystokratycznym czy światowym bohatera, wraz z posłyszczanymi zachwykami nad grą Bermy rodziło się przekonanie o sakralnym niemal charakterze sztuki, jedyne, które nie oparło się później destrukcyjnym działaniom rozczarowań, chociaż gra Bermy rozczarowanie mu przyniosła. W Combray tedy zaczął się ów zwiad socjologiczny, peregrynacje Marcela po ludzkim społeczeństwie; ich zwieńczeniem miał być fresk, na którym społeczeństwo to we wszystkich jego pozach ukazane zostało przez pisarza, fresk, który odsłaniał jak gdyby mimochodem — bo wszakże powieść tę nazywają przede wszystkim historią jednego powołania — sprężyny działań ludzkich, rzeczywiste mechanizmy rządzące społecznym kosmosem. Bowiem pisząc o sobie, pisał Proust o innych, nawet pisząc o absolutnej samotności i wyobcowaniu bohatera, pisał o samotności wśród ludzi. Dzieło poczęte z introspekcji, z pewnego punktu widzenia krańcowo subiektywne, stało się w świadomości niektórych odbiorców obiektywnym dokumentem epoki — nie jedyny to zresztą Proustowski paradoks. Porównywano je — czynił tak m. in. Tadeusz Boy Żeleński — z *Komedią ludzką* Balzaka. Szkice Boya, którego zasługi w przeszczepieniu na polski grunt „nowego słońca literatury” — jak pisał o Prouście — są ogromne, dziś nie wydają się już tak frapujące, jak musiały być odbierane niegdyś. Znakomity tłumacz pisał bowiem o Prouście głównie z perspektywy anegdoty i plotki, tak drogiej postaciom powieści i zapewne jej czytelnikom również. Sam Boy jednak, pisząc o relacjach między powieścią a rzeczywistością, wielokrotnie podkreśla fakt, iż osoby, jak i zdarzenia występujące u Prousta nie są wierną kopią osób i zdarzeń, które w rzeczywistości miały miejsce, że świat ukazany przez pisarza nie tyle jest fotograficzną odbitką świata istniejącego, ale raczej tego świata modelem. Proust pragnął uchwycenia wieczności, czyli w innych kategoriach „istoty rzeczy”. Interesowało go to, co stałe, niezmiennie, w przeciwieństwie do tego, co przypadkowe, ulotne. I jeśli bohaterami swymi uczynił ludzi, którym obce były zwykle troski przeciętnego zjadacza chle-

ba, to stało się to nie tylko dlatego, że tę warstwę ludzi znał z autopsji. Proust uważał, iż ludzie o stosunkowo najmniejszym obszarze tzw. życia praktycznego będą najbardziej reprezentatywni, jeśli chodzi o ujawnienie się cech właściwych człowiekowi w ogóle, cech i zachowań ogólnoludzkich. Majątek, żądza władzy, mechanizmy karier — są tylko szczególnymi przypadkami akcesoriów walki o sukces. U bohaterów Prousta owo pragnienie sukcesu pozbawione jest wszelkich nadziei na korzyść materialną, ukazane jest w stanie czystym, klinicznym, modelowym. Skoro tematem tego rozdziału jest wizja świata zawarta w *W poszukiwaniu...*, należy zacząć jej rekonstrukcję od pojęcia światowości.

— Co słyhać w wielkim świecie? — ten zwrot ma w naszych czasach pewien odcień ironii, słyzy się go jednak na tyle często, że nie można nie odkryć w nim jakiegoś sentymentu. Wielki świat — słowa symbolizujące marzenie i jedyną bodajże ziemię obiecaną bohaterów Prousta. Wielki świat, który tyle ma imion! Hołdują owym pozornym, uludnym wartościom społecznym — które wartościami nie są, jednak funkcjonują jak wartości — przedstawiciele wszystkich warstw społecznych, także na szczycie hierarchii społecznej, wśród próżniaków i darmozjadów, którzy sami siebie nazywają wielkim światem i są za ten wielki świat uznawani przez resztę niżej położoną na drabinie społecznej. Wiele jest odmian snobizmu, choroby, która toczy prawie wszystkich. Dewizą tych wszystkich nieszczęśników jest nie tyle „być kimś lepszym”, co „uchodzić za kogoś lepszego”. Nawet ta pierwsza łagodniejsza formuła kryje w sobie element porównania, a więc i wywyższania, a więc w efekcie i pogardy dla innych — niższych, bądź — inaczej mówiąc — gorszych. Nikogo nie interesuje jego wartość bezwzględna, nikomu nie chodzi o to (wyjątek stanowić tu będzie jedynie Marcel, ale dopiero od chwili „nawrócenia”), by być kimś dla siebie, niezależnie od opinii innych: w końcu więc świat ten da się przyrównać do gigantycznej giełdy, z jednej strony komicznej — bo komiczna jest pani Verdurin, kiedy gwałtownie — słysząc, że zmieniły się notowania, że w dobrym guście jest i na czasie zachwycać się Elstirem — zmienia swe zdanie o jego sztuce, z drugiej zaś tragicznej w swej przeraźliwej próżności, bowiem klęski, które ponoszą posiadacze akcji doprowadzają ich do rzeczywistej rozpaczki, podczas gdy wszystkie akcje i tak mają wartość czysto umowną. Owa irracjonalna, umowna lepszość związana bywa z nazwiskiem. Fakt urodzenia się w tej lub innej rodzinie decyduje od razu o zajęciu przez danego osobnika określonego miejsca w hierarchii społecznej. Owe osoby ze świata arystokratycznego, Guermantowie zwłaszcza, mają dla Marcela pewien urok, samo brzmienie ich nazwiska wywołuje w nim odczucie, jakie zwykły w nas wywoływać rzeczy stare, owiane legendą. Ten urok podsycają jeszcze prezencja, wytworność, elegancja, czar osobisty, które na kimś, kto patrzy na ten świat

w sposób poetycki — a tak czyni Marcel — wywierać muszą wielkie wrażenie. W bliższym poznaniu jednak świat ten odsłania swe prawdziwe oblicze. Lektura fragmentu dzienników Goncourtów (fragmentu sfingowanego, w którym opisany jest salon pani Verdurin) uświadamia ten fakt Marcelowi: ludzie, których znał od podszewki, których nudziarstwo go drażniło, których intrygi go śmieszyły, jak śmieszył go cały wystrój tego miejsca — ukazani są w dzienniku w olśniewającym świetle. Droga karier, sławy, uznania, jak ją pokazuje Proust, jest wielce pokretna: o tym, czy ktoś zabłyśnie jako gwiazda czy autorytet, decyduje kaprys ludzi, których nie sposób uznać za kompetentnych. Wylansować malarza potrafią ci, którzy o malarstwie nie mają zielonego pojęcia i własnego zdania. Nieprzypadkowo mówimy tutaj o malarstwie, sztuka bowiem odgrywa w tym świecie wielką rolę, aczkolwiek zupełnie służebną i żadnego związku nie mającą z jej istotą. Odczuwają bowiem ludzie nieustanną potrzebę nowości, potrzebę urozmaicenia i uświetnienia. Nie my sami wystawiamy sobie świadectwo, ale i ci, którzy u nas bywają. Tedy w orbitę życia towarzyskiego wciąga się artystów; jakiegoż splendoru przydaje taki Bergotte czy skrzypek Morel, jakie się odbywają nabożeństwa nad ich talentem i geniuszem. Może być to geniusz, może być i miernota — jest to sprawą reklamy i urabiania opinii — ale opinie powstają właśnie w salonach. Salony, które są wyrocznią, są więc zarazem areną gry pozorów. Proust, który patrzy na nie obiektywnie, dostrzega, iż przypadkiem, bo przypadkiem, ale zdarza się, iż obejmują one mecenat nad kimś, kto rzeczywiście ma talent i ze wszelkich miar na pomoc i reklamę zasługuje. Ale jak sztuka i artyści są jedynie pretekstem, by ściągać co znaczej-szych gości — wysoko urodzonym bowiem schlebia znajomość i przebywanie z człowiekiem sławnym, artyści znowu nie są wolni od słabości bywania u wielkich dam — tak i owa elegancja, wdzięk, takt i blask tego świata są jedynie pozorem. I zapewne darowalibyśmy pani domu, która w szczegółach opracowuje każde spotkanie kręgu wzajemnej adoracji, a nie potrafi powstrzymać się od ziewania w czasie grania sonaty Vinteuila, darowalibyśmy salonom ową obłudę i załganie w stosunku do sztuki, gdyby tylko ograniczały się do tego zakresu. Sfera najwyższa bowiem, którą w młodzieńczej naiwności uważa Marcel za to, co najlepsze, w której spodziewa się znaleźć sens życia ludzkiego, bowiem myśli, że ta warstwa ludzi właśnie go posiadała, jest elitą, ale tylko pozornie. Jest zdegenerowana i dekadenccka. Nie chodzi tu nam o inwersję, której tak wiele w *W poszukiwaniu...*, wszak pada jej ofiarą Robert de Saint-Loup, Baron de Charlus, Morel i tylu innych. Proust, który sam na sobie, zdaje się, doświadczył męki, jaka płynie z tej anomalii, nigdzie nie mówi o zбочzeniu i jego niemoralnym charakterze. Nie jest to dla niego występek, a choroba; niezawiniona i tedy nie mogąca podlegać ocenie.



„Osobiście byłem przekonany, że z punktu widzenia moralności jest absolutnie obojętne, czy się znajduje rozkosz u mężczyzny, czy też u kobiety, i że jest rzeczą aż nadto naturalną i ludzką szukanie jej tam, gdzie ją można znaleźć” — opisuje swe wrażenia Marcel na wiadomość o tym, iż Robert de Saint-Loup, który tak rozpacział po stracie Racheli, zmienił swoje gusta. „Gdyby więc Robert nie był żonaty, jego stosunek z Charliem nie powinien by mi sprawiać żadnego bólu”. Ale Robert był żonaty.

Skoro mówimy o arystokracji, przejdźmy do najwyższej urodzonego. Oto książę Błażej de Guermantes.

„Książę Błażej nie był zachwycony tymi propozycjami. Niepewny, czy Ibsen lub D'Annunzio żyją, czy umarli, widział już pisarzy, dramaturgów składających wizyty jego żonie i pakujących ją do swoich utworów”. Ludzie światowi chętnie wyobrażają sobie książkę jako rodzaj pudła pozbawionego jednej ściany, tak że autor co prędzej „pakuje” do środka osoby, które napotyka. To jest oczywiście nielojalne, a tacy ludzie to są bardzo podejrzane figury. Zapewne, byłoby dość zabawne widywać ich *en passant*, bo dzięki nim, kiedy czyta się książkę lub artykuł, zna się „podszewkę” wszystkiego, można „zdrzeć maski”. Pan de Guermantes uważał za „zupełnie na miejscu” jedynie osobnika, który prowadził rubrykę nekrologów w „Gaulois”. Ten przynajmniej ograniczał się do cytowania w pierwszym rzędzie nazwiska pana de Guermantes między osobami zauważonymi „w szczególności” na pogrzebach, gdzie książę zapisał się na liście. Kiedy pan de Guermantes wolał, aby jego nazwisko nie figurowało, wówczas zamiast się zapisywać, przesyłał rodzinie zmarłego kondolencję zapewniającą o jego bardzo żalobnych uczuciach. Jeżeli ta rodzina zamieściła w dzienniku: „Pomiędzy otrzymanymi dowodami współczucia zacytujemy list księcia de Guermantes...”, to nie była to wina wzmiankarza, ale syna, brata, ojca zmarłej osoby, których książę piętnował jako karierowiczów i z którymi odtąd był zdecydowany nie utrzymywać stosunków (co nazywał, nie mając ścisłego poczucia znaczenia wyrażać, „być na pieńku”).

Ten wybrany na chybił trafił cytat charakteryzuje zarówno umysłowość księcia, jak i stosunki panujące w „wielkim świecie”. Ostatecznie jednak i głupotę wybaczyć by można księciu de Guermantes, gdyby nie to, że jest ona tak wielka, a książę poza tym, iż pozbawiony jest inteligencji, to również pozbawiony jest wszelkich uczuć ludzkich. Kiedy mówi mu o chorobie Swanna, macha lekceważąco ręką, stwierdzając, iż informujący go przesadza, nie dlatego, iżby nie wierzył w to, że Swann stoi nad grobem, ale dlatego, by nie psuć sobie nastroju. Kiedy donoszą mu o śmierci Amaniana, książę jest wyraźnie zdęgotowany i wściekły. Uważa, że popełniono w stosunku do niego nietakt — nie tylko ten, który

go zawiadomił, popełnił nietakt, ale również nieboszczyk, bowiem umarł w tak bardzo niestosownej porze, kiedy księżę akurat wybiera się na redutę. Etykieta panuje wszędzie i etykiety strzeże się jak oka w głowie; pod jej wyszukanyymi formami kryje się jednak tylko pycha, pustka wewnętrzna, niekiedy nawet chamstwo. Może są światy gorsze od tego — zdaje się mówić Proust — ale wiem na pewno, że ten świat nie jest najlepszy.

Snobizm wszakże i wszelkie jego implikacje nie są li tylko przywarą próżniaków, arystokracji wiodącej już egzystencję trupią ani też tylko owej grupy również partycypującej w pojęciu „wielki świat” — cyganerii zawieszanej pomiędzy elitą a marginesem społecznym. W dziele Marcela Prousta występuje również burżuazja, owa klasa nowa wówczas, prężna, wstępująca — jej przedstawicielei toczy ta sama choroba. Oni także tworzą pewien zamknięty krąg, do którego strzegą wstępu. Arystokracja nie straciła dla niej jeszcze swej atrakcyjności. Kiedy następuje przenikanie tych dwu warstw, arystokracja przyjmuje do swego grona Gilbertę Swann i panią Verdurin, i w odczuciu tych dwóch kobiet stanowi to niewątpliwy awans. Dotyczy to jednak burżuazji wielkiej. Burżuazja prowincjonalna jest przekonana o godności i „lepszości” swojej klasy równie mocno, co arystokracja. I stąd te słowa oburzenia na Swanna za to, iż obraca się w kręgu Faubourg Saint Germain, bowiem w świadomości tych ludzi nie przystoi, by syn agenta giełdowego prowadził życie towarzyskie w innym kręgu niż krąg agentów giełdowych. „Deklasować się to nie znaczy tylko bywać w kaście niższej, ale także próbować szczęścia u kasty wyższej. Zasada jest bezwzględna” — pisze Henri Bonnet. Owe prawidła, wedle których toczy się życie społeczne, a które ukazuje Proust głównie na przykładzie „światowców” i ich służby (służący i służące, o czym jeszcze nie pisaliśmy, są w nie mniejszym stopniu snobami niż ich mocodawcy), odnoszą się do wszelkich grup zamkniętych, każda bowiem taka grupa wytwarza sytuację, iż są „wtajemniczeni”, ci, którzy do niej należą i ci, którzy pozostają poza jej nawiasem, mając zamknięty wstęp. I wydaje się, iż każda taka grupa może znaleźć się w sytuacji, w której, by zachować swoistość, odrębność i prestiż, będzie musiała kłaść nacisk na etykietę — a etykietę wytwarza każda grupa, jak każda grupa wytwarza swój język — i obowiązek przestrzegania etykiety uważać za najważniejszy, tak jak księstwo des Guermentes uważają „za obowiązek ważniejszy od często zanieganych obowiązków miłości bliźniego, czystości, miłosierdzia i sprawiedliwości, za obowiązek nad wszystkie niezłomny — zwracanie się do księżnej Parmy jedynie w trzeciej osobie”.

Zasady tworzenia się owych kręgów są różnorodne, bowiem grupę, której działania podlegają mechanizmom opisanym przez Prousta, stanowi również naród. Polityka nie zajmuje u Prousta miejsca szczególnie

eksponowanego, nie sposób jednak mówić, iżby Proust nic nie powiedział o naturze polityki.

Taki okazał się świat, do którego tęsknił Marcel w Combray, o którym marzył. Nie było w nim miejsca na nic prócz rozczarowania. Lecz świat ten — pisze Boy, i nie sposób się z nim nie zgodzić — „stał się u Prousta najlepszym polem dla obserwatora wszechzłudy, która, wedle jego koncepcji i odczucia, stanowi istotę naszego życia. [...] W świecie czczych zabaw i czczych zatrudnień Proust mógł obserwować najlepiej ów swoisty mechanizm i odkrywać pewne psychologiczne prawa, ważne później już dla wszystkich światów”.

### III

Po tym, czego doświadczył Marcel, trudno byłoby przypuszczać, iż w *W poszukiwaniu straconego czasu* kryje się jakikolwiek sens moralny. Bohater Prousta jest od początku przekonany o jednym: wartością możemy nazwać jedynie to, co trwa, co jest stałe, niezmienne, co się nie rozpada, i chociaż wraz z upływem lat wyzbywał się będzie wielu przekonaniań, w odmiennym świetle będzie widział te czy inne sprawy, temu jednemu przeświadczeniu, które możemy uznać za założenie wyjściowe, pozostanie wierny do końca. Jak pisze Błoński, nie wydaje się, by Proust zgodził się ze słowami poety, iż godna miłości jest chwila, która dwa razy się nie powtarza. Jeśli więc wartością — wartością moralną — może być tylko to, co nie podlega niszczącemu działaniu czasu, to czas, będący u Prousta czymś więcej niż tylko abstrakcyjną kategorią filozoficzną, niejako osobisty demon pisarza, nie zostawia żadnej szansy i żadnej nadziei. Marcel nie potrafi znaleźć niczego, co byłoby trwałe, nie potrafi więc znaleźć niczego, co mógłby uznać za wartość. Szukajcie, a znajdziecie. Stukajcie, a będzie wam otworzone. Życie Marcela jest jednym wielkim szukaniem i kołataniem do drzwi. To jednak, czego szuka, nie jest tym, co ma znaleźć. Otwierają się przed nim drzwi Guermantów — zdawałoby się drzwi, których nigdy nie zdoła przekroczyć. Każdy sukces przynosi mu rozgoryczenie; to, co niegdyś było tak upragnione i niedosiężne — upragnione, bo niedosiężne — z chwilą, gdy osiąga sukces — maleje.

Wyzbywając się złudzeń, neglizując pozory i pozy wielkiego świata, popada Marcel w rozpacz. Zdaje sobie sprawę z wielokrotnej śmierci, która jest naszym codziennym udziałem. Jest świadomy, iż zmieniamy się w czasie, umieramy wraz ze swymi pragnieniami, pożądaniami i miłościami. To nie tyle nawet Marcel dokonuje odkryć tych przemian, jakim podlegają postaci, w kręgu których się obraca i on sam przede wszystkim. To Czas, nieubłagany Bóg i Szatan Prousta oprowadza go po swoim kró-

lestwie, ukazując swą straszliwą władzę i kruchość stworzenia. Patrz to wszystko jest moje — mówi Marcelowi, niby Szatan kuszący Chrystusa na Górze. I niby Bóg, ukazuje mu nicość świata doczesnego. Marcel stoi na granicy szaleństwa i oblędu, grozi mu utrata poczucia tożsamości — tak łatwo zgubić się w korowodzie niknących i pojawiających się nowych „ja”. Jest pusty i zrozpaczony. Czas jest nieubłagany. Niszczy nie tylko twarze kobiet, nie tylko wyobrażenia i złudzenia. Nie opiera mu się również to, co z pozoru jest solidne, co na co dzień trwa niewzruszenie, co stwarza słodką — lecz niestety uludną — iluzję bezpieczeństwa i spokoju. Nie opierają mu się przedmioty. Kiedy Marcel odwiedza Lasek Buloński, w którym niegdyś bawiła się mała Gilberta Swann, i dokąd on przychodził ze swą opiekunką, uświadamia sobie owo destrukcyjne działanie Czasu.

„W Avenue des Acacias — w alei Mirtowej — ujrzałem niektóre z nich, stare, straszliwe cienie tego, czym były niegdyś, błędzące, szukające rozpaczliwie w wirgiliańskich gajach nie wiadomo czego. Uciekły od dawna, kiedy ja jeszcze pytałem daremnie opustoszałych dróg. Słońce schowało się. Natura zaczynała panować nad Laskiem, skąd uleciała idea, że był on elizejskim Ogrodem Kobiety; nad sztucznym młynem prawdziwe niebo było szare; wiatr marszczył jezioro drobnymi falami niby sadzawkę; wielkie ptaki przelatywały szybko przez Lasek niby przez las i wydając ostre krzyki, siadały rzędem na dębach, które pod druidyczną koroną i z dodonejskim majestatem zdawały się głosić nieludzką pustkę lasu wyzutego ze swego przeznaczenia, pomagając mi zrozumieć nonsens, jakim jest szukać w realnym świecie obrazów pamięci: zawsze będzie im brakowało czaru, którego użycza sama pamięć, i tego, że ich nie poznajemy przez zmysły. Rzeczywistość, którą znałem — nie istniała już. Wystarczyło, że pani Swann nie zjawiała się zupełnie taka sama, w tej samej chwili, aby aleja stała się inna. Miejsca, któreśmy znali, należą nie tylko do świata przestrzeni, w który wstawiamy je dla większej wygody. Były one jedynie cienką warstwą pośród ciągłości wrażeń tworzących nasze ówczesne życie; wspomnienie jakiegoś obrazu jest jedynie żalem za pewną chwilą; i domy, drogi, aleje, są ulotne, niestety, jak lata”.

Ten przydługi może, lecz piękny przecież fragment, zamyka pierwszy tom cyklu — *W stronę Swanna*; pozostajemy jeszcze w kręgu czasu straconego lub — mówiąc mniej pięknie, a bardziej dobitnie — zmarnowanego, w którym długo jeszcze pozostawać będzie Marcel-bohater, chociaż Marcel-narrator przebywa już w czasie odzyskanym. Nim nastąpi utożsamienie ich obu, wiele wody upłynie w Vivonne. Na razie główną siłą motoryczną postępowania bohatera jest nie poszukiwanie czasu straconego, lecz poszukiwanie przyjemności, które okaże się później długą, bolesną, lecz nie daremną kwarantanną. Zdecyduje o tym cud, coś na kształt prze-

życia mistycznego, czym bowiem, jak nie przeżyciem mistycznym będą doznania Marcela, gdy potknie się o wystającą płytę chodnika, gdy podążać będzie do pałacu Guermantów?

Lata dziecięce upływają mu pod znakiem miłości do matki i akceptacji tego, co określić możemy mianem kodeksu Combray. W Combray zacznie się jednak zdrada Combray: Marcel popełni grzech, wymuszając pocałunek matki na dobranoc. Nie mogąc zasnąć w swym dziecięcym pokoju, popełni grzech kłamstwa i szantażu. I zazna pierwszej goryczy — wbrew przewidywaniom pocałunek nie przyniesie mu ukojenia, przeciwnie — wyrzuty sumienia i niepokój. Te wyrzuty sumienia towarzyszyć mu będą przez długie lata, sprzeniewierzenie się samemu sobie przybierać będzie coraz to nowe formy. Wykroczenie, którego dopuścił się Marcel, było wykroczeniem przeciwko cnotcie posłuszeństwa, naruszało również ten paragraf niepisanego kodeksu Franciszki, „który wyrażał po prostu szacunek, jaki wyznawała nie tylko dla krewnych — jak dla umarłych, księży i królów — ale i dla obcego, któremu używa się gościny...”

W świadomości Marcela obecne będzie w równym stopniu poczucie krzywdy, jakiej doznaje w wypadku nie umotywowanych czy nawet umotywowanych zakazów spotykających go ze strony rodziny, co i poczucie winy, iż przysparza kłopotów matce i ojcu, nie realizując nadziei, jakie w nim pokładają. W każdym wypadku, kiedy wreszcie zostaje spełnione któreś z jego marzeń i któraś z obietnic danych mu przez rodziców, a odwołanych ze względu na zły stan zdrowia Marcela, jak choćby pójście do teatru na „Fedrę” i możliwość obejrzenia gry Bermy, w każdym wypadku Marcel doznaje rozczarowania, proporcjonalnie wielkiego do oczekiwań. Perspektywy kariery dyplomatycznej, związane z wizytami pana Norpois, czy kariery literackiej są jedynie perspektywami. Marcel wie, że sprawia przykrość rodzicom, nie spełniając ich nadziei, sprawia im przykrość swoją mizerną konstytucją fizyczną; troska, którą widzi w oczach matki, również potęguje kompleks winy. „Kierowałem się jedynie chwilowymi pragnieniami” — mówi gdzieś Marcel. Te wszystkie chwilowe pragnienia można sprowadzić do pragnienia szczęścia. Wysiłki Marcela nie czynią go jednak szczęśliwym. Cały ten okres czasu straconego jest jakby przygotowaniem. Gdyby nie *Czas odnaleziony*, dzieło Prousta byłoby jedną z najbardziej pesymistycznych książek, jakie zostały napisane. Wobec rozpadającego się świata, cóż może uczynić człowiek? Cóż może uczynić rozbitek na tratwie znoszonej przez prąd? Cały kodeks moralny arystokratyczno-mieszczanski, przeciw któremu będzie buntował się Marcel, od którego będzie odchodził, nie wytrzymuje konfrontacji z życiem. Z chwilą, kiedy patrzy się dość wnikliwie — a Marcel jest bystrym obserwatorem — okazuje się bądź jedynie odziedziczonym i sztucznym zbiorem reguł, których się przestrzega, zamykając oczy na prawdę, bądź je-

dynie konwencjonalnym sposobem życia na zewnątrz, na pokaz, w ostatecznym rachunku więc — jedynie nieświadomością bądź pozą. Rzeczywistość zewnętrzna istnieje niezależnie od nas i nie nagina się do naszych intencji. Proust jest za bardzo przyrodnikiem, za bardzo badaczem, by zgodzić się na złudzenia. Nie przymyka oczu na fakty, a wyjaśniając je przyczynowo, daleki jest od tego, by je potępiać, mimo iż w potocznym wyobrażeniu zasługują na tzw. moralne oburzenie. Znakomita scena zalotów barona de Charlus i krawca Jupiena stanowi tego przykład najlepszy. Tropiąc mechanizmy przyczynowo-skutkowe — zdawać się może — brnie Proust w zaułek bez wyjścia, skazując się na relatywizm etyczny i rolę badacza obyczajów jedynie, niewiele mającego do powiedzenia, jak być naprawdę powinno, co naprawdę jest dobrem, a co złem. Przez cały okres — jak go nazwalismy — przygotowania, szuka Proust czegoś, co nadałoby sens jego życiu. I niby gracz w domino, odwracając kostki w poszukiwaniu tej jednej, która jest mu potrzebna, bierze wszystkie po kolei i przekonuje się, że żadna nie jest tą pożądaną z wyjątkiem ostatniej, tak Proust czy Marcel Prousta, szukając tego, co nadałoby sens jego życiu, co życie to pozwoliłoby zrozumieć, ocalić, szukając wartości, odkrywa kolejno to właśnie, co wartością nie jest.

Nie jest wartością życie światowe i towarzyskie, przed analitycznym okiem Marcela roztacza się cała jego nędza. Nie jest wartością, bo trudno uznać za dobro coś, czego struktura jest zmienna, płynna, wątpliwa, jak wątpliwe są kariery dziś modnych, jutro już zapomnianych salonów. Widziane z daleka życie towarzyskie olśniewa, fascynuje, jednakowoż ludzie będący na szczycie drabiny społecznej przy bliższym poznaniu okazują się ciekawi o tyle, że zasługują na studium przypadku, lecz nie na uwielbienie czy zachwyt. Marcel obdarzony jakże czułym systemem nerwowym, nadwrażliwy, w czym udział ma i samotność, i choroba, wyposażony jest na tyle w zmysł krytycyzmu, by przejrzeć grę pozorów, ujrzeć snobizm, odgadnąć sztuczność i konwencjonalność zachwytów, obnażyć właśnie pozór bogactwa życia intelektualnego i estetycznego kręgu, do którego z niejakim mozołem się wdzierał.

Nie jest dobrem najwyższym miłość, skoro jest chorobą. Wie o tym Swann, jedna z najbliższych duchowo postaci Marcelowi. Już na podstawie historii jego związku z Odetą de Crecy można sformułować ten sąd. Marcel przekona się o tym kochając Gilbertę, miłość do Albertyny pozbawi go resztek złudzeń w stosunku do natury miłości. Jest ona fatamorganą i fantasmagorią, jest chorobą, bo jak chory w malignie nie panuje nad tym, co czyni, tak zakochany nie włada swoim postępowaniem. Klęska, którą poniesie Marcel, nie będzie jedną z wielu. Miłość do Albertyny jest, by wrócić do przytoczonego wcześniej porównania z dominem, ostatnią kostką, jaką ma do dyspozycji Marcel w swojej grze z czasem,

grze o stawkę najwyższą, bo o siebie. Miłość jest jednym z tzw. doświadczeń ostatecznych. Ona ma uratować go przed pustką, wyleczyć z niepokoju, wyprowadzić z zamkniętego świata własnej jaźni, z piekła własnej samotności. Ale jakże może to uczynić, skoro sama jest chorobą i sama jest piekłem?

„Kiedy widziałem jakiś przedmiot, świadomość, że go widzę, pozostawała między mną a nim, okalając go wąską obwódką duchową, która nie pozwalała mi nigdy bezpośrednio dotknąć jego materii; ulatniała się niejako, zanim z nią wszedłem w styczność, tak jak rozżarzone ciało, które zbliżymy do mokrego przedmiotu, nie dotyka jego wilgoci, ponieważ zawsze poprzedza je strefa pary”.

Zdanie to odnosi się nie tylko do przedmiotów fizycznych, lecz również do przedmiotów uczuć, i sens jego nabiera wtedy wymiaru tragiczności. Marcel nigdy nie przełamie dystansu, jaki dzieli go od kochanki; im silniejsze będą jego uczucia, tym ostrzej widzieć będzie daremność sforsowania bariery. Miłość jest czymś, co wymyka się wszelkim próbom jej zracjonalizowania; można opisać jej mechanizm, i czyni to Proust, zdając sobie jednak sprawę z tego, iż zrozumienie jej w ogólności nie na wiele przydać się może w poszczególnym, jednostkowym przypadku, a to z tego powodu, iż uczucie to jakby paraliżuje intelekt, rzucając na oczy zasłonę — rozerwać ją może jedynie śmierć uczucia. To, co nas pociąga w osobie kochanej, to tajemnica, którą pragniemy poznać. Owa tajemnica opromieniająca obiekt miłości jest tajemnicą bądź rzeczywistą, bądź iluzoryczną. Nie zmienia to jednak siły jej oddziaływania. Widzimy w kochanej osobie nie to, co rzeczywiście w niej istnieje, ale to, w co wyposaża ją jedynie nasza wyobraźnia. Odmowa, kaprys, zbieg okoliczności sprawiają, iż kobieta, obok której dziesiątki razy przeszedłby obojętnie Swann, jawi mu się jako ta jedyna, obdarzona wszystkimi zaletami, dla której poświęca wszystko. A przecież była Odeta jedynie jedną z wielu kokot w złym guście. Miłość Marcela do Gilberty poczyna się w momencie, w którym uświadamia on sobie jej niedosiężność, jej przynależność do innego świata, do którego on, Marcel, ma zamknięty dostęp. Ta miłość uświęca wszystko, czego dotyka Gilberta, mamy do czynienia z sakralizacją niemal mieszkania, w którym przebywa, piastunki, z którą chodzi na spacer, i odwrotnie: podziw, jaki budzi w Marcelu pan Swann, przydaje blasku jego córce. Przebywając w Balbec, Marcel obraca się w kręgu „bandy”, Albertyna jest jedną z wielu dziewcząt, z którymi bywa na plaży i włóczy się po okolicy. I pozostałaby do końca jedną z wielu, zwłaszcza, że jego pragnienia kierowały się raczej w stronę Anny, gdyby nie posłyszane przypadkiem słowa, iż Albertyna zna pannę Vinteuil. Dźwięk tego nazwiska wywołuje w jego pamięci scenę, której był przypadkowym i niewidocznym świadkiem w Mountjuvain, gdy ukryty w cieniu nocy

obserwował przez zasłonięte okno gomorejskie zabawy panny Vinteuil i jej przyjaciółki. Albertyna jest już kimś innym, niż była przed chwilą. W ślad za miłością, jak cień kroczy uczucie zazdrości, jej okrutny sprzymierzeniec, bowiem to ono właśnie podsycza miłość. Dla Marcela zacznie się okres niepokoju, halucynacji. Albertyna będzie wymykała mu się nieustannie, cóż że będzie posiadał jej ciało, skoro jej istota będzie zawsze należała wyłącznie do niej samej. Zazdrość przybierze formy maniakalne, Marcel uwięzi Albertynę, będzie ją szpiegował po to tylko, by przekonać się o daremności wszystkich wysiłków. Zależnie od chwilowego nastroju te same fakty będą świadczyły na korzyść Albertyny, to znów przeciw niej. Będzie śledził każdy jej krok, zadręczał ją przesłuchaniami, wyrzutami, to znów na moment ulegając własnym życzeniom, uzna, że nie jest mieszkanką Gomory i prosić ją będzie o przebaczenie, by za chwilę znów pograżyć się w rozterce. Jedyne chwile względnego spokoju, jakich zazna, to te, gdy patrzy na Albertynę śpiącą. Kiedy dowie się o jej śmierci, obok rozpacz i ośpienia dozna również uczucia ulgi, podobnego temu, które czuł patrząc na Albertynę śpiącą. Śmierć Albertyny nie jest wszakże śmiercią miłości Marcela do niej, jest natomiast początkiem agonii tej miłości, agonii, którą Marcel będzie obserwował i analizował z tragicznym wręcz masochizmem, aż wreszcie stwierdzi jej zgon, gdy w Wenecji otrzyma telegram od Gilberty, który wskutek pomyłki odczyta jako depeszę od Albertyny, a więc kiedy pomyśli, iż wiadomość o jej śmierci była nieprawdziwa.

„Gdy zapomnienie raz już ośwładnęło kilkoma dominującymi punktami rozkoszy i bólu, opór mej miłości był pokonany, przestałem kochać Albertynę. [...] Zapomnienie, monstrum przejmujące moją miłość dreszczem lęku, pochłonęło ją w końcu, tak jak przewidywałem”.

„... kiedyś zależało mi na Albertynie bardziej niż na sobie samym; teraz nie zależy mi na niej, ponieważ przez pewien czas nie widywaliśmy się. Moje pragnienie, żeby nie być oddzielonym od siebie przez śmierć, żeby zmartwychwstać, nie było podobne do pragnienia, żeby nigdy nie być oddzielonym od Albertyny — trwało przecież nadal. Czy to jednak nie wynikało z tego, że uważałem się za istotę bardziej cenną niż ona i że kiedym ją kochał, bardziej kochałem siebie samego? Nie, to było dlatego, że przestawszy ją widywać przestałem kochać, a siebie kochałem wciąż, bo moje codzienne więzy z samym sobą nie zostały zerwane jak więzy z Albertyną. Ale gdyby i do tego doszło?... Skutek byłby na pewno taki sam. Nasze umiłowanie życia to tylko stary związek, z którego nie umiemy się wydostać. Jego siła tkwi w długotrwałym istnieniu. Śmierć, która go zerwie, wyleczy nas z pożądania nieśmiertelności”.

„... moja miłość do tamtej [Albertyny — B. Z.] stanowiła tylko formę mego uwielbienia dla młodości. Zdaje się nam, że kochamy młodą dziew-



czynę, ale, niestety, Kochamy w niej tylko jutrzeńkę, która przez chwilę odbija swą różowość w jej twarzy”.

Czas jeszcze raz zwyciężył Marcela. Albertyna umarła i nie wydaje się, by ktokolwiek inny lub cokolwiek mogło nie podzielić jej losu. Dziewczęta, w których twarzach odbija przez chwilę swą różowość jutrzeńka, są tylko mirażem. Otaczają nas bańki mydlane, w których odbija się niekiedy tęcza, i sami jesteśmy taką bańką. I jak losem baniek jest prysnąć, tak naszym losem jest zapomnienie, któremu na imię śmierć. A przecież jednak Albertyna zmartwychwstała, wie o tym Marcel-narrator, nie wie jeszcze Marcel-bohater.

Stan, w jakim się znajduje ten drugi, jest stanem apatii, rozpacz, duchowej degrengolady. To wszystko, w czym chciał znaleźć oparcie, to, czego się chwycił, rozsypało mu się w rękach niby piasek. Niczego czasu nie oszczędził: miłość, życie towarzyskie i światowe, salony, uroda Balbec, wszystko to było jedynie rozrywką — w Pascalowskim sensie tego słowa. Wszystko to było próbą zasłonięcia przepaści, uchronienia się od nicości. Ów okres błędzenia, przygotowania, krytyki, okres czasu straconego, okres pytań i negacji kryje już jednak w sobie załazek przezwyciężenia, tak jak przygoda Marcela z magdalenką rozmoczoną w lipowej herbacie zapowiada olśnienie, jakiego dozna potykając się o płytę chodnika. Jak już powiedzieliśmy, cechował ten okres niepokój, nieustanna dynamika poszukiwania. Wyzbywanie się złudzeń jest wszakże dochodzeniem do prawdy. „Prawdy zaś poszukuje się — jak mówi Simone Weil — nie jako prawdy, ale jako dobra”. Cóż, że poszukiwania te były bezowocne, „... jeśli czasem doznawałem może radości (nie intelektualnych), trwonilem je zawsze dla różnych kobiet; tak, iż gdyby los przyznał mi jeszcze sto lat życia, i to życia bez chorób, byłoby to jedynie dorzucaniem kolejnych przedłużeń do nazbyt już długiej egzystencji i trudno byłoby nawet dopatrzeć się korzyści w jej przedłużaniu, a tym bardziej o tyle lat. Co zaś do «rozkoszy intelektualnych», czyż mogłem tak nazwać owe zimne stwierdzenia, które wydobywało moje bystre oko lub słuszny sposób rozumowań — bez żadnej dla siebie przyjemności, a które pozostawały bezpłodne?” Cóż, że prowadziły do zupełnego zwątpienia, wyzbycia się wszelkiej wiary, w tym również wiary we własne uzdolnienia literackie i rzeczywistość literatury, skoro „...w momencie, kiedy wszystko nam się wydaje stracone, pojawia się znak zdolny nas ocalić; kołatano już we wszystkie drzwi wiodące do nikąd, na jedyne zaś, któredy można by wejść i których daremnie szukalibyśmy sto lat, natrafiamy bezwiednie, i otwierają się one”. Drzwi się otwierają. Uczucie błogostanu, nie zmaconej żadną troską i obawą o przyszłość radości, radości, która samą śmierć czyni nieważną; to uczucie, którego doznaje przed pałacem Guermantów w przeciwieństwie do przygody z magdalenką stara się Marcel zrozumieć. Jest to chwila

przełomowa w jego życiu. Objawienie, jakiego doznał, kończy okres zwątpień, destrukcji, analizy, kończy go, lecz nie przekreśla. To wszystko, co wydawało się nieodwracalne, ostateczne, okazuje się być tylko etapem na pewnej drodze. I od tej pory dopiero mówić można o pozytywnej filozofii Prousta, bowiem tak jak nowe systemy zaczynają się krytyką poglądów dawnych, tak i w ewolucji bohatera wyróżnić można te dwa właśnie etapy. Gdyby czas nie został pokonany, świat pozostałby chaosem, człowiek zaś przypominałby popsuty kalejdoskop, w którym tysiące szkiełek nigdy już nie złożą się w całość, lecz na zawsze pozostaną w rozsypce. Cud, którego doświadczył, ukazał mu możliwość nawiązania walki z czasem, dał mu nawet zasmakować zwycięstwa. „...to, co posmakowała przed chwilą istota parokroć we mnie wskrzeszona, stanowiło może akurat fragmenty egzystencji odjęte czasowi, lecz owa zaduma, choć ogarnęła wieczność, była przelotna”.

Jedynym sposobem, jaki istnieje, aby nadać owemu przelotnemu poczuciu cechy trwania, jest — wedle Prousta — dzieło sztuki. Tak więc jesteśmy na tropie swoistej koncepcji etycznej, jak i swego rodzaju teodycei, usprawiedliwiającej zło, które aczkolwiek bytowo samoistne, funkcjonalnie jest — a przynajmniej może być — służebne względem dobra. Złem jest cierpienie, złem jest rozdarcie, złem jest wszystko to, co przemija, pozostawiając nas pod wrażeniem niepełności, pustki, braku tożsamości — tak przynajmniej mówi nasz potoczny rozsądek. Ale Proust odbiera temu złu autonomiczność. Powiada — „człowiek staje się moralny dopiero z chwilą, kiedy jest nieszczęśliwy”. Ułudne, krótkie chwile szczęścia wprowadzają nas w stan zadowolenia, usypiają nasz umysł, każą dostrzegać nam jedynie powierzchnię zjawisk; gdyby nie cierpienie, nie dotarlibyśmy nigdy do ich istoty. Gdyby nie ono, prawda byłaby nam niedostępna. Cierpienie „...jest zbawienne, dodatkowo jako środek, gdyż choćby nasze życie trwać miało najkrócej, tylko wśród cierpień myśli nasze, niepokozone poniekąd ustawicznymi i zmiennymi wstrząsami, wznoszą się jak gdyby wśród burzy tak wysoko, że możemy dojrzeć cały ów ogrom usystematyzowany prawami, którego, niby ze źle umieszczonego okna, na ogół nie dostrzegamy, spokój bowiem szczęścia wygładza jego powierzchnię i utrzymuje ją na zbyt niskim poziomie...” Dzięki niemu docieramy do owej wiedzy pewnej, bardziej głębokiej, dzięki niemu potrafimy odkryć w tym, co jednostkowe — jak miłość Marcela do Albertyny czy Gilberty — to, co ogólne, prawa rządzące naszym życiem, zrozumienie miłości powszechnej, a nie jedynie indywidualnej. Niewątpliwie więc, dla Prousta, poszukiwanie prawdy jest poszukiwaniem dobra, dobro jest utożsamione z prawdą. „Wielkość sztuki prawdziwej [...] polega na tym, aby odnajdywać, chwycić na nowo i ukazywać ową rzeczywistość, od której żyjemy z daleka i odchylamy się coraz bardziej, w miarę jak na-

biera gęstości i nieprzepuszczalności wiedza umowna, jaką zastępujemy tę rzeczywistość, ryzykując mocno, iż umrzemy nie poznawszy jej — która jest po prostu naszym życiem”.

Zwrot jaki dokonał się w Marcelu, polega na tym, iż zrozumiał on, że nigdy nie znajdzie tego, czego szukał, tam, gdzie próbował to znaleźć. Tam — to znaczy w świecie zewnętrznym, więc niezależnym od nas, rządzonego nieubłaganymi prawami przemijania. Przełomowość „czasu odnalezionego” polega na tym, iż Marcel zaczyna sobie zdawać sprawę z faktu, że nasza prawda bytuje jedynie w nas samych. Do *Czasu odnalezionego* właśnie, którego bohater kieruje się Sokratejską zasadą „poznaj samego siebie”, odnoszą się słowa Alberta Camusa: „Proust wybiera życie wewnętrzne, a w nim to, co jest najbardziej wewnętrzne, przeciw temu, co w rzeczywistości ulega zapomnieniu, to znaczy przeciw mechaniczności i ślepeму światu. Ale odrzucając w ten sposób rzeczywistość, Proust jej nie neguje”. Odkupienie, powrót do raju prawdziwego — „a raj prawdziwy jest zawsze rajem utraconym” — dokonać się może przez dzieło sztuki. Ono daje nam poznanie prawdziwe, ono również uwalnia nas od pełnego rezygnacji i goryczy stwierdzenia, iż pragnienie nieśmiertelności jest fantazmatem, z którego wyleczy nas śmierć. Dzieło stanowi czasu przewyciężenie i w nim osiągalna jest wieczność. Ono zapewnia, umożliwia nam dostęp do świata prawd uniwersalnych, ono nas ocala. Jest przewyciężeniem samotności. „Tylko dzięki sztuce możemy wyjść poza siebie, dowiedzieć się, co widzą inni z tego świata, który nie jest ten sam, co nasz, a którego krajobrazy pozostałyby dla nas tak samo nieznanne, jak pejzaże mogące istnieć na księżycu. Dzięki sztuce, zamiast widzieć jeden świat, nasz, widzimy, jak świat się pomnaża, ilu jest bowiem oryginalnych artystów, tyloma dysponujemy światami, które bardziej różnią się od światów krążących w nieskończoności, i choć wygaśnie ognisko, skąd emanuje świat artysty, przez wiele stuleci świat ów, czy nazywał się Rembrandt, czy też Ver Meer, wysyła nam wciąż jeszcze specjalny swój promień”.

Dzieło sztuki jest wartością, bowiem daje nam zakosztować owej bezinteresownej radości, nie płynącej z żadnych źródeł utylitarnych, charakterystycznej dla obcowania z wartościami, które są tym, czym są, i nie udają niczego więcej. Dzieło jest więc dobrem najwyższym. Obecne jest zaś w Marcelu w sposób jedynie potencjalny, musi je wydobywać na powierzchnię, ujawnić. Skoro powieść jest naczelną wartością Prousta, jej napisanie będzie naczelnym obowiązkiem etycznym pisarza. Wszystko, co temu obowiązkowi będzie przeczyć, będzie złem, wszystko, co przyczyniać się będzie do jego spełnienia — dobrem. Przyjmując tę zasadę, przyjmuje Proust jako kryterium dobra przydatność dla dzieła, dzięki czemu odejmuje absolutyzm zła, które dostrzegł w swoim dotychczasowym życiu.

Na marginesie zauważmy, że sama procedura zweryfikowania tego jako zła była możliwa dopiero w chwili, gdy objawiła mu się owa wartość najwyższa. Do momentu olśnienia życie Marcela pełne było niepokoju, poczucia pustki, bezsensu i cierpienia. Cierpienie odbierał jako cierpienie, niepokój jako niepokój, pustkę jako pustkę. Pisząc o Prouście, Camus stwierdził, co cytowaliśmy wyżej, że Proust odrzuca rzeczywistość, lecz jej nie neguje. Prawdę zdobywa się własnym doświadczeniem — cierpieniem płaci się za wiedzę pewną. Z chwilą, kiedy ją osiągamy, własne błędy widzimy w innym świetle, potrafimy je ocenić jako błędy właśnie, lecz i one zyskują znaczenie. Były przygotowaniem, stanowią kapitał zgromadzony niepostrzeżenie w naszej pamięci, bez którego dzieło nie mogłoby powstać. Świadomy sensu dotychczasowego życia, które o tyle nie jest życiem zmarnowanym, o ile ocali je dzieło, Marcel zrywa z nim, podejmując wysiłek odkupienia go.

„Owa praca artysty, polegająca na tym, że stara się on dostrzec pod materią, pod doświadczeniem, pod słowami coś odmiennego, jest czymś akurat odwrotnym do pracy, którą, w każdej minucie, kiedy żyjemy odwróceniu od samych siebie, miłość własna, namiętności, inteligencja i przyzwyczajenia wykonują w nas również, gromadząc ponad naszymi prawdziwymi wrażeniami, żeby ukryć je przed nami całkowicie, stosy nomenklatur i cele praktyczne, które zwiemy błędnie życiem. Na ogół owa sztuka tak skomplikowana jest jedyną sztuką żyjącą. Ona jedna wyraża dla innych, a nam samym ukazuje nasze własne życie, owo życie, którego nie da się «zaobserwować», którego pozory przez nas obserwowane trzeba wyrażać i często też, odczytane na opak, mozolnie rozszyfrować. Pracę tę, której dokonuje nasza miłość własna, namiętność, zmysł naśladowania, inteligencja abstrakcyjna, nawyki, sztuka odrzuci, kierując nas w przeciwną stronę, i jest to powrót w głębinę, tam, gdzie to, co istniało rzeczywiście, spoczywa przez nas nie znane. I zapewne wielką było pokusą odtworzyć życie prawdziwe, odmłodzić wrażenia. Ale trzeba było na to odwagi wszelkiego rodzaju, nawet uczuciowej. Bo stanowiło to nade wszystko wyrzeczenie najdroższych ulud, rezygnację wiary w obiektywność tego, cośmy wypracowali w sobie, miast więc upajać się słowami po raz setny: «Była bardzo urocza», przeczytać je na odwrót: «Miło mi było ją całować»”.

Podejmując więc trud napisania dzieła, decyduje się Marcel na totalną zmianę trybu życia, przyzwyczajień, kontaktów. Ów człowiek, poszukujący dotąd przyjemności, uganiający się za zmysłowymi uciechami świata, wiodący życie łatwe i próżniacze, wybiera teraz dyscyplinę wewnętrzną i ascezę. On, który nieustannie pragnął nowych twarzy, nowych znajomości, którego nieustannie wiodły na pokuszenie wspaniałości salonów wielkiego świata, który pragnął być w centrum zainteresowania,

pragnął, by o nim mówiono i by go podziwiano — wybiera samotność. Zwrot, jaki nastąpił w jego życiu, nawrócenie, które stało się jego udziałem, przypomina nawrócenie świętego Augustyna. Jeśli wielokrotnie czerpaliliśmy porównania z dziedziny religii, nie działa się to bez powodu. Bóg nie jest u Prousta najwyższym prawodawcą i stwórcą świata oraz gwarantem jego istnienia czy sędzią najwyższym, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Boga u Prousta nie ma — nie w tym sensie, by się nigdzie nie pojawiał, są wszakże kościoły i jego wizerunki — nigdzie jednakowoż nie ma Boga jako problemu nawet tylko postawionego. Jak pisze Camus: „...świat [Prousta — B. Z.] pragnie być zamkniętą doskonałością i nadać wieczności twarz człowieka. Czas odnaleziony w swej ambicji przynajmniej to wieczność bez boga”. Ów zamach na wieczność, na to, co doskonałe i zamknięte, sprawia, iż dzieło Prousta, *de facto* laickie, zawiera w sobie coś analogicznego do ducha religijnego, co sprawia, że terminy z tej dziedziny zaczerpnięte są przydatne do jego opisu.

Z chwilą, gdy Proust dostrzegł możliwość osiągnięcia absolutu, nieważne stały się dla niego blaski i nędze doczesnego świata. Straciła swe znaczenie sława i to, jakim widzą go ludzie. Zniknął ze świata i kazał się zamykać w swym wykładanym korkiem pokoju, trapiiony jedną obawą — że nie zdąży. Proust, bo przecież Marcel i jego autor są tą samą osobą. Pojawiał się niekiedy, by sprawdzić któreś ze swych spostrzeżeń i znów zniknął na długie tygodnie. „Szczęście jest zbawienne dla ciała, zgryzota dla ducha”. Jeśli był szczęśliwy, to szczęściem z innego świata, tak jak gościem z innego świata wydawał się tym, którzy nigdy go znali.

Kończąc ową dygresję, powróćmy jeszcze do problemu wartości naczelnych, najwyższych etyki zawartej w *W poszukiwaniu...* W literaturze filozoficznej dotyczącej wartości przyjęło się rozróżnienie m. in. na wartości moralne i estetyczne. Cechą tych pierwszych jest powinnościowość, to co Scheler określał jako *seinsollen*, one też — jak powiada Roman Ingarden — domagają się realizacji, podczas gdy wartości estetyczne o tę realizację się proszą. Powszechnie dość przyjmuje się również, iż w hierarchii wartości etyczne stoją wyżej niż estetyczne, tak więc, gdy zachodzi konieczność realizacji jednej z nich, poświęcić należy wartość estetyczną na rzecz wartości etycznej. Filozofia, jaką daje się odczytać w *W poszukiwaniu...*, nie nosi w sobie owego trudnego do rozstrzygnięcia problemu. Powiedzieliśmy już, że dobro tożsame jest dla Prousta z prawdą. Pisanie dzieła sztuki jest realizowaniem pewnej wartości estetycznej, jest również dochodzeniem do prawdy. Tak więc mamy do czynienia z jednością prawdy, dobra i piękna.

U Prousta powraca idea greckiej *kalokagathia*. Dobro, piękno i prawda są tym samym. Jest to etyka bez kodeksu, żadne prawo pisane nie uwolni

nas od odpowiedzialności i ryzyka, sami bowiem jesteśmy sobie sądem, żadne prawo pisane, żadna obiegowa norma nie zastąpi nam głosu wewnętrznego, Sokratesowego *dajmoniona*, żaden paragraf nie będzie miał mocy obligującej, jeśli nie zostanie zweryfikowany przez to, co nieco staroświecko zowie się sumieniem. Miarą wszystkich rzeczy jest człowiek — mógłby powtórzyć za Protagorasem, lecz słowa te nie byłyby wyznaniem relatywizmu i ich humanistyczna treść podkreślałaby tylko odpowiedzialność, jaką człowiek ponosi, i obowiązek — moralny — by do tej miary starał się dotrzeć. Tworzy więc Proust koncepcję — i za nią, jak Marcel, się opowiada — etyki osiągananej poprzez walkę wewnętrzną i nieustanną pracę nad sobą.

To, co przedstawiliśmy, nie rości sobie pretensji do wyczerpania zagadnienia, jest zaledwie szkicem czy zarysem. Nie było również naszym celem przeprowadzenie krytyki koncepcji Proustowskiej. Otwarta np. jest kwestia iluminacji, objawienia, które stanowi jej kamień węgielny. Jest to kwestia doświadczenia mistycznego w ogólności, w której to sprawie, jako że nie jest to doświadczenie intersubiektywne, nie czujemy się kompetentni. Trudno jednak nie zauważyć, że w czasach, kiedy zwycięża konsumpcyjny ideał życia, a z drugiej strony coraz trudniej o wiarę w kodeksy, etyka Prousta, podbudowana ukazaniem jałowości życia biernego i podejmująca problem odpowiedzialności człowieka względem własnego życia i siebie, jest wciąż aktualna i atrakcyjna. Można zastanawiać się nad kwestią jej konsekwencji praktycznych. Nie ulega jednak wątpliwości, że potwierdziło ją jedno przynajmniej życie i jedna śmierć — życie i śmierć samego Prousta.

Бохдан Задура

#### МОРАЛЬНЫЕ ОСНОВЫ В ТВОРЧЕСТВЕ ПРУСТА

Темой очерка является моральная проблема *A la recherche du temps perdu* Пруста. Эта книга обсуждается как панорама обычаев, превосходный психологический роман, набросок характеров, дело о закате аристократии — замечая описание — не замечая мысли. Автор очерка старается не только указать Пруста знатоком (в этом отношении его знаменительность не возбуждает возражений) но также Пруста-моралиста.

Очерк состоит из трех частей. Первая посвящена теоретическо-познавательным воззрениям, которые заключены в романе. Указано в нем влияние семейного дома и климата эпохи на формирование личности писателя, для которого исходной точкой зрения был позитивистический метод и научно естественный подход к всяким явлениям. Надо подчеркнуть — на что долгое время читатели романа не обращали внимания — что применяя метод Пруст дошел до генеральных определений диаметрально ему противоположных. Пруст,

как никто на почве литературы перед ним, подчеркивает значение субъективистического фактора в познании. Не отрицает — вопреки позитивизму — существования сути дела и качественных различий. Рассуждения касающиеся Прустовских анализ явления воспоминания и других родов памяти (в особенности учитывая аналогическую память) указывают как великую роль они сыграли в укреплению убеждения писателя о недостаточности и неадекватности интеллектуального познания, обнаружения его обманов, упрощений и утилитарного характера.

Мир простого опыта, мир здравого ума, как и мир науки являются мирами призрака (иллюзии). Эти концепции выказывают удивительное сходство с концепциями Бергсона.

Во второй части представлен в общем очерке Прустовский мир с детской комнаты в Комбрей по салоны дворца Гурмантов. Общительная и светская жизнь, описываемые Прустом, являются ареной непрерывной ложной игры. Снобизм точит все лица провивающиеся по страницам романа. Стоимости, которыми как будто владеет и которые представляет собой аристократическая элита — под анализом указывают свою мелочность и иллюзию. Автор очерка — ссылаясь на Боя, указывает факт, что критика Пруста относится не только к некой отходящей в прошлое формации. Прустовский мир имеет характер модели, действующие в нем механизмы имеют универсальный объем.

Третья часть, благодаря попытке указания этических взглядов Пруста является самой важной частью. Она указывает путь, по которой герой, а с ним и Пруст доходят до точки, в которой критику заступают позитивные предложения. Характеристической чертой Марселя были поиски стоимости. Стоимостью он признавал только прочное, неизменное, то что не разрушается. В поисках за чем-то, что придало бы смысл его жизни, находил то, что стоимостью не являлось, а не является ею то, что подлежит разрушающему влиянию времени. Победа над временем является наибольшей мечтой Марселя. Осуществление такового он видит в творческом искусстве. Искусство является самым высоким благом, а также достижением правды и красоты. Творчество существует лишь только потенциально, самый важный приказ для Пруста — написать роман. Все будущее к этому — благо, отводящее — зло.

Этические предложения Пруста, по мнению автора, не могут быть считаемы всеобщими и благотворными рецептами, тем не менее это не может быть достаточной причиной, чтобы их не замечать.

Они заслуживают на уважение и размышление как на попытку достижения правды, которой Пруст посвятил всю свою жизнь. Они кажутся особенно увлекательны во время, когда старые этические кодексы теряют свое значение и убедительную силу, когда все чаще находимся в положении Прустовского героя, в конфликтном положении отданные только на себя, ответственны только перед собой.

Bohdan Zadura

#### THE MORAL TRENDS IN THE WORKS OF PROUST

The essay deals with moral problems in Proust's *À la recherche du temps perdu*. The novel has been viewed by many as a survey of the ruling customs, as an outstanding psychological novel, as a study of human characters, and as a story of the decline of aristocracy. The description of facts has been noted in this way, but not the underlying idea. This essay shows Proust not only as an etologist (in this respect his importance is not controversial), but also as a moralist.

The essay consists of three parts. The first one deals with Proust's views connected with the theory of knowledge to be found in the novel. Special emphasis is put on the influence both of the atmosphere of his home and that of his time on the formation of Proust's views, as his point of departure was the positivistic method as well as scientific and naturalistic approach to all events. Further, it should be stressed — and this has escaped many readers for a long time — that having applied his method Proust arrived at general conclusions which have proved to be in a sheer contradiction with this method. No writer of fiction before him has pointed out the importance of subjective factors in cognition better than he did. In defiance of positivism, Proust denies neither the existence of the essence of things nor of qualitative differences. Considerations relating to Proust's analysis of the phenomenon of remembering and of different kinds of memory (with particular stress on analogous memory) show how important they were for fixing his views on the insufficiency and inadequacy of intellectual cognition as well as on discovering its falsifications, simplifications and utilitarian character. Both the world of common experience and common sense and that of science are worlds of delusion. These conceptions show a striking coincidence with those of Bergson.

The second part of the essay contains a general picture of the world of Proust, from the nursery in his home in Combray to the drawing rooms in the Guermant palace. To social and fashionable life, as described by Proust, is a scene of a continuous game of appearances. Snobbery is characteristic for all persons shown in the novel. Values that the aristocratic elite seems to possess and to represent have after analysis proved to be fragile and delusive. The author of the essay refers to Boy Żeleński and indicates the fact that Proust's criticism applies not only to a formation receding into the past. For, the world of Proust has a model character and the mechanisms working in it have a universal range of activity.

As an attempt to present the ethical views of Proust, the third part of the essay is the most important. It shows the way that led the hero of the novel, and with him also Proust, to the point where criticism gives way to positive proposals. Characteristic for Marcel was his search for values. A value was considered by him to be something durable, invariable, and indestructible only. Having been in search of something that would give sense to his life, he found no values, as anything that is exposed to the destructive action of time cannot be considered a value. To defeat time is Marcel's greatest desire. He will perceive this possibility through a work of art. The work of art is, therefore, the highest good, as an achievement of both truth and beauty. But a work of art exists only potentially and therefore the highest moral command for Proust is to write a novel. All that leads to it is right and all that dissuades from it is wrong.

In the author's opinion, the ethical proposals of Proust cannot be regarded as general and beneficial prescriptions, but this does not mean that they should be neglected. They deserve respect and consideration as an attempt to arrive at truth to which Proust dedicated all his life. They seem to be particularly interesting in our time, when old ethical codices lose their importance and their persuasive power, when we are often in the situation of Proust's main character, i.e. in conflict situations, doomed to ourselves and responsible before ourselves.